

Fatalny początek prezydentury

Tylko przez krótki czas, wówczas gdy uroczyście odbieraliśmy trumny ze szczątkami ofiar katastrofy smoleńskiej, można było mieć nadzieję, że wielki szok jakiego doznaliśmy 10 kwietnia br., pozostawi jakiś pozytywny trwały ślad w społeczeństwie, że bardziej zbliży nas Polaków do siebie. Wszak zginęli przedstawiciele całego Narodu. Wydawało się, że w tym historycznym momencie Polacy, którzy tak różnią się w swoich poglądach, spojrzą na siebie inaczej, głębiej, życzliwiej. Łączyć przecież powinna nas nie tylko mowa i adres nad Wisłą, ale przede wszystkim odpowiedzialność za wspólny polski los. Jednym z pierwszych, którzy zakłócili nastrój narodowej żałoby, okazał się reżyser Andrzej Wajda, któremu idea pochowania prezydenckiej pary na Wawelu wydała się obrazoburcza, choć decyzję tę podjął metropolita krakowski, administrator sanktuarium na Wawelu. Od tego momentu pękła atmosfera żałoby przeżywanej godnie i powróciła retoryka walki, a nawet, jak powiedział Wajda, prawdziwej wojny. Powróciła idea wroga, którym od 2005 roku pozostaje PiS, partia, która wygrała wówczas wybory parlamentarne, a popierany przez nią Lech Kaczyński, rozpoczął swoje urzędowanie w pałacu prezydenckim.

Dziś znów jesteśmy świadkami poważnej eskalacji tego samego konfliktu, który tym razem boleśnie dotyka Kościoła i jego wiernych, dla których krzyż jest najważniejszym życiowym znakiem. To uniesieni atmosferą powszechniej żałoby harcerze

ustawili ten prosty drewniany krzyż z prośbą, by stał tam do czasu, kiedy powstanie pomnik czy tablica upamiętniająca tragicznie zmarłych. Ich życzenie było życzeniem tysięcy ludzi opłakujących zmarłych w tym symbolicznym miejscu przed pałacem prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu, miejscu, skąd prezydent Lech Kaczyński i jego małżonka wyruszyli w swoją ostatnią drogę do Katynia.

W wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” kilka dni po wyborach prezydent elekt Bronisław Komorowski zapowiedział przeniesienie krzyża spod pałacu prezydenckiego w inne „odpowiednie miejsce”. Wówczas nawet nie nazwał tego innego miejsca „godnym”. Zamiar przeniesienia krzyża okazał się poważnym błędem, kompletnie nieprzemyślaną decyzją, która zapoczątkowała eskalację nowego konfliktu „o krzyż”.

Czy tak musiało być? Czy gdybyśmy mieli innego prezydenta elekta, to postąpiłby tak jak Bronisław Komorowski? Nawet gdyby nie był nim Jarosław Kaczyński? Nim spróbuję zmierzyć się z tym pytaniem, proponuję cofnąć się w czasie do innego wydarzenia, które również sprowokował reżyser Andrzej Wajda.

W 2007 roku prezydent Lech Kaczyński zapowiedział zorganizowanie w dniach 5-7 października na Placu Piłsudskiego w Warszawie uroczystości upamiętniających ofiary zbrodni katyńskiej. Uroczystości te miały wpisać się w kalendarz innych historycznych obchodów i być częścią polityki historycznej prowadzonej przez prezydenta. Ważnym elementem tych obchodów, których tytuł brzmiał: „Katyń - pamiętamy.

Uczcijmy Pamięć Bohaterów", miało być odczytanie 13.5 tysiąca nazwisk zamordowanych na Wschodzie, a ofiary zbrodni katyńskiej miały otrzymać pośmiertny awans na wyższe stopnie wojskowe i służbowe. W tym czasie trwała zarządzona 8 września 2007 roku przez prezydenta kampania wyborcza do sejmu i senatu. Wybory miały się odbyć 21 października 2007. Jako pierwszy przeciwko „upolitycznianiu” uroczystości katyńskich zaprotestował Andrzej Wajda, a zaraz po nim politycy ówczesnej opozycji, czyli przewodniczący Platformy Obywatelskiej Donald Tusk i szef SLD Wojciech Olejniczak. Ku wielkiemu zdumieniu, nie tylko prezydenta Lecha Kaczyńskiego, ale i wielu obserwatorów życia publicznego, a szczególnie przedstawicieli rodzin katyńskich, okazało się, że uroczystości upamiętniające Katyń mogą mieć ukryte „polityczne” cele. Oskarżono prezydenta o to, że zaplanowane przez niego uroczystości, są motywowane politycznie, aby wesprzeć w wyborach Prawo i Sprawiedliwość. Wielkie zdziwienie wyraził wtedy Jarosław Kaczyński, mówiąc, że „ocena tych uroczystości jako mających zapewnić wsparcie dla jednej tylko formacji politycznej jest zdumiewająca, choć dla PiS bardzo zaszczytna”. Dlaczego pamięć o zbrodni katyńskiej miałaby służyć tylko jednej partii – pytał wtedy, nie tylko zdumiony prezes PiS.

A jak zareagował prezydent Lech Kaczyński na te absurdalne i motywowane wyłącznie politycznie argumenty Andrzeja Wajdy? W ciągu jednego dnia, a nawet w ciągu zaledwie kilku godzin, podjął decyzję przełożenia uroczystości katyńskich na inny,

późniejszy termin. Ostatecznie odbyły się w dniach 9-11 listopada, a więc już po wyborach. Tak właśnie mądrze, z taktem i wyczuciem zareagował prezydent Lech Kaczyński, który, choć nie zgadzał się z argumentami przeciwników, zrobił wszystko, aby uroczystości miały godny charakter, by ich uczestnicy nie zostali wciągnięci w polityczną atmosferę walki wyborczej, by pamięć ofiar mordu katyńskiego w żaden sposób nie została naruszona. Lech Kaczyński ustąpił Wajdzie i innym głośno wówczas krzyżującym, pokazując tym swoją klasę, mądrość i odpowiedzialność.

Dziś znowu słyszymy, że za „rozszałałymi obrońcami krzyża” stoi PiS i osobiście Jarosław Kaczyński. PiS „eskaluje konflikt”, „dzieli Polaków”, „wymusza kult Lecha Kaczyńskiego”, „manifestuje swoją ideę polityczną”, „dąży do kompromitacji Bronisław Komorowskiego jako uzurpatora”, itd., itp.

Politycy PO, a także lewicy nawołują, że trzeba tworzyć „ruch obrony konstytucji”, że należy bezpardonowo walczyć o państwo prawa, o faktyczne oddzielenie państwa od Kościoła, że należało siłą usunąć obrońców krzyża.

Ale nikt z tych obrońców demokracji i „silnego państwa” nie powie nawet szeptem, że konflikt ten wywołał prezydent elekt, który ma swoisty talent do zachowań w stylu „słoń w składzie porcelany” i to on jest przede wszystkim odpowiedzialny za jego rozwiązanie. Niech porozmawia z tymi, tak dziś ośmieszanymi i poniżanymi ludźmi sprzed pałacu prezydenckiego,

którzy Boga, krzyż i Polskę traktują poważnie i niech się przekona, czy ci ludzie to „szaleńcy” i „ekspozytura PiS”. Zamiast brnąć dalej, niech zakończy ten smutny dla wszystkich konflikt. Tak powinien postąpić prezydent, który jest katolikiem i który walczył o elekcję pod hasłem „zgoda buduje”. Niech przyjedzie z Budy Ruskiej jeszcze na dzień przed zaprzysiężeniem i podejmie mądrą decyzję.

Wojciech Reszczyński

195Nasz Dziennik 05.08.10